Rozmaitości

DNIA 3. STYCZNIA. N^er 1. 1835 ROKU.

DO CZYTELNIKA.

Bogini nowin, chwyć rączego konia,
Puść mu léjc długo, bież w halickie błonia,
Nieś ich mieszkańcom róg okwitych życzeń,
Rozpogódź umysł, rozkwiéć mroźny Styczeń,
Daj im cześć winną, daj im pozdrowienie,
Proś o przychylność, proś o zachęcenie!

PAŁAC INKWIZYCYI W WALLADOLID.

(POWIEŚĆ.)

Wy, co w ciemnicę wejdziecie tej kuiei,
Świat pożegnajcie, zrzeczcie się nadziei.
Dante.

Pośród piasczystéj, na wiele mil rozległéj, jednakże nie zupełnie jałowéj równiny, już się z daleka pojawia oku spaniałe, niebotycznémi wieżami najeżone miasto Walladolid (u starożytnych Picinium zwane), dawna stolica państwa, w którém nigdy nie zachodziło słońce.

Za czasów Karola V. liczyło 100,000 mieszkańców; lecz poźniéj, po przeniesieniu królewskiego dworu do Madrytu, zaczęło utracać ze swojéj świetności i przyszło do upadku. Z 11,000 po największéj części na cztéry piątr wzniesionych domów, większa połowa leży w ruinie. Wędrowiec zachwycony okazałością, którą miał w dalowidni; wjechawszy w mury, widząc domy spustoszałe, ulice wyludnione, nie może nie poddać się nagabaniu jakiegoś smętu, który na widok tak olbrzymiego trupa potajemnie serce jego przenika. Oku oglądającego stawi widok znikłéj wielkości najbardziéj to miejsce, które powszechnie *Plaza major* nazywają. Jestto plac w samym środku miasta tak wielką przestrzeń zajmujący, że na potrójnych rzędach balkonów trzypiątrowych domów, tęż przestrzeń otaczających, cała teraźniéjsza ludność miasta, to jest 20,000 mieszkańców, wygodnie umieścićby się mogła. Jednakże daleko smutniéjsze wrażenie sprawia plac *el Campo grande,* znajdujący się na końcu miasta. Jestto jeden, ze wszystkich placów publicznych w całéj Europie, największy. Najbardziéj wyznamienia się tém, że jest pietnastą wielkiémi zamkniony kościołami, do których po największéj części klasztory przypiérają. Łatwo sobie tedy wystawić można, jak tam wielka liczba różnobarwnych snuje się zwolenników.

Ale plac *Campo grande* ma jeszcze inne, daleko smutniéjsze znaczenie. Był on niegdyś miejscem wykonywania krwawych wyroków owegoto strasznego sądu, który ani zgrzybiałemu starcowi, ani kwitnącéj dziewicy, ani samemu nawet niemowlęciu nigdy nie przebaczał; owego sądu, na którego wspomnienie truchleli najwaleczniéjsi bohatérowie kastylijscy. Na tym placu odbywały się niegdyś *autos da Fé*; na tym placu konali w płomieniach najpiérwsi mężowie, którzy byli zaszczytem i chwałą swojéj ojczyzny, których Niemcy, Francyja i cała Europa ubóstwiały. Na tym placu, inkwizycyja — chcąc dać poznać przelęknionemu krajowi, że ani tron, ani sam grób nawet, nikogo przed jéj wyrokiem ustrzédz nie zdoła — kazała, mocą swojéj strasznéj potęgi, na dniu 21. maja 1559

żywcem spalić wielkiego jałmużnika, przydwornego kaznodzieję Karola V., doktora Augustyna Cazalla, i wydobyć z grobu strupieszałe zwłoki szlachetnéj niewiasty, donny Eleonory de Vibero, w kaplicy klasztoru *St. Benito el real* pogrzebione, które wraz z jéj wyobrażeniem na pastwę płomieni oddano. Jéj dom został zburzony i równo z ziemią zagładzony; a na pustém miejscu, w pamiątkę jéj hańby, postawiono pręgierz.

Dopiéro w r. 1809 zniesiono tę szkaradną pamiątkę fanatyzmu; rokiem zaś wprzódy, w czasie zdarzenia, które opowiadamy, stała jeszcze; a na przyczółku bramy pałacu inkwizycyi można było widzieć białego i czarnego baranka z gorejącą w ustach pochodnią i z opartą na kuli ziemskiéj nogą; jeszcze można było to straszliwe, na marmurze wyżłobione czytać godło: *Domine exsurge! judica causam tuam!* Patrząc na ten gmach ogromny, ozdobiony w kolumny, krużganki, kraty i różne straszliwe symbola; wspomniawszy na czynności; które w nim się odbywały; strach przemocą bierze duszę, a krwawe cienia upłynionych wieków, zdają się jeszcze wyglądać z ciemnych, dużych okien jego. —

W roku 1808, w poźnéj jesieni, która wiosennéj pogodzie północnego nieba śmiało równać mogła; siedziało na podsieniu gospody, ocienionéj rozłożystémi konarami zielonego wiązu — położonéj nad brzegiem rzéki Pisuerga, przy *Espelon viejo* — kilku oficérów francuzkich w wesołéj rozmowie. Przed nimi stały wązkie, ale wysokie kieliszki ciemnoczerwoném winem Valdepannas napełnione; a gospodnik Boteilleryja, widząc ich ochoczo popijających, krzątał się chętnie i żywo ku ich usłudze. Całe towarzystwo składało się z dwóch młodych i dwóch starszego już wieku oficérów; rozmowa toczyła się po największéj części o wojennych wypadkach. Jeden ze starszych, którego szlify rangę kapitana oznaczały, zdawał się przewodzić towarzystwu i ciągnąć pasmo opowiadania, któremu się drudzy pilnie przysłuchiwali, jak się to w kole wojskowych dziać zwykło, kiedy wyższéj rangi towarzysz, o wypadkach życia swego rozprawiać zacznie. Że zaś opowiadający nie mało w życiu swojém doznał przygód; jużto okazywała jego męzka, wojskowa postawa, która młodszych skłaniała do uszanowania. Chociaż opowiadający nie mógł miéć więcéj nad lat 50; włos jego był już dobrze siwy. Że ani słoty, ani spieki, ani wszelkich niewygód w polu sławy nie unikał, aby zasłużył wstęgę, która od słońca już spłowiałą, z pod guzika wychyloną widziéć można było; poznać to po ciemnéj, ogorzałéj cerze twarzy; a że przed nieprzyjacielem lękliwie tyłu nie podawał, świadczy tému széroka blizna, która od czoła zacząwszy, poprzek ospowatego szła lica, i dopiéro, jakby w cieni lauru, pod potężnym kryła się wąsem. — Obadwaj młodsi oficérowie przysłuchiwali się w cichości mowie kapitana; ale czwarty z ich towarzystwa, którego *Mr. le major* nazywali, przerywał mu ją czasami, jakby na przekorę.

»Patrzcie!« rzekł ów z krésą: »Mojém zdaniem, powinienby Cesarz, zamiast brać szturmem wąwóz Somosierre, puścić się prosto gościńcem; mybyśmy przeszli przy Duennas przez Carrion; ale...« to mówiąc zamilkł i spojrzał niespokojnie wzdłuż gościńca; »tam oto widzę mego wysłańca; ten przecież nam powie, jak się ma pan de Sacy.«

W téj właśnie chwili, gdy to mówił, przystąpił ku niemu grenadyjer, którego rękaw trzema szewronami w znak wieloletnéj służby był pokryty, i zaraportował: że porucznika Sacy nie zastał w jego kwatérze; ale mu zostawił wiadomość, gdzie kapitana Vautré znaleźć może.

»Więc już wychodzi,« zawołał uradowany kapitan, i dając żołniérzowi skinieniem głowy odprawę, podał razem i gospodnikowi próżny dzban do napełnienia, mówiąc do swoich towarzyszów: »Gdyśmy przed trzema tygodniami w to miasto się wdziérali, a tego biédnego młodzieńca przy moim boku kula w biodro ugodziła; piérwszy raz w życiu doznałem przestrachu. — Jak wiécie, od tego czasu uganialiśmy się po wąwozach i górach, gdzie żadnéj o nim nie mógłem miéć wiadomości; tylem się tylko dowiedział, że jeszcze żyje. Cały dzień dzisiejszy straciłem na jego wyszukaniu; ale śród tych wielkich diabelskich zwalisk, które oni miastem nazywają, daremne było moje staranie.«

»Pana kapitana, jak widać, mocno troszcze pan Sacy,« rzekł jeden z młodych oficérów; »muszato być związki jeszcze z dawnych lat życia kapitana.

»W sam sęk ugodziłeś,« odrzekł Vautré, napiwszy się ciemno-czerwonego nektaru; a po chwilowém, głębokiém zamyśleniu się, w te zaczął słowa: »Należy wam wiedzieć, że tego młodego człowieka znam jeszcze od kolébki; byłem jego nauczycielem — dawneto czasy — jeszczem tonzurę nosił.«

»Co?« wrzasnęli jednym głosem obadwaj młodzi oficérowie; »Waćpan, kapitanie?«

»I czegoż się dziwicie?« rzekł, uśmiéchając się, adjutant major, zdmuchnąwszy spokojnie popiół z swego cygaro. »Alboż on wam nie dosyć jeszcze intonuje mocno, gdy głosem chórowym: *Grenadiers! serrez vos rangs* zakomenderuje. Wszakże u nas takich więcéj: Któż na przykład po księciu Bonawentu pozna, że chodził niegdyś w fiolecie? A książe Otrantu, nie podobnież kapitanowi Vautré, ze swoim poróżnił się stanem?«

»Nie! nie! kapitanie!« zawołał jeden z młodych oficérów, śmiejąc się na całe gardło; »kto się na ciebie popatrzy i sobie pomyśli; czém byłeś, a czém teraz jesteś; musi chcąc nie chcąc, pękać od śmiéchu!«

»*Sacre bleu!* ja sam pękam teraz!« śmiejąc się odpowiedział kapitan Vautré; a śmiéch jego wcale mu nie uprzyjemniał twarzy. »Od czasu, jak demeszka przeklętego Mameluka tę długą krésę wypisała na mojém licu, wszelka się dawna pobożność na mojéj fizonomii zatarła z kretesem,« mówił w dobrym humorze będący kapitan Vautré; »ale nie żal mi tego! byłoto w wyprawie, która była zenitem chwały Francuzów.«

»Czy ojciec pana de Sacy — wszak go tak zawsze nazywasz kapitanie — nie poległ pod piramidami w owym dniu gorącym?« zapytał adjutant; »ja byłem wtedy, jak wiész, przy korpusie dromedarów i nie mogę sobie dobrze tego przypomnieć.«

»On poległ w Wyższym-Egipcie!« odpowiedział ponuro kapitan Vautré, w ziemię wlepiwszy oczy. »Ale jeżeli go zawsze panem de Sacy nazywam, czynię to po piérwsze dla tego: żeto był *gentilhomme* najgodniejszy w świecie, i nikt tego przydomku lepiéj nie zasłużył! po drugie: żem się już tak z dawnych czasów i okoliczności, mówić przyzwyczaił; a po trzecie: że mi się tak podobało i punktum.«

»Nie róbże jeszcze punktum, mój zacny kapitanie, bo tu idzie jeszcze po czwarte: że się temu nikt nie sprzeciwia i sprzeciwiać nie może!« zawołał adjutant, ułagadzając kapitana. »Miéjże rozum, Vautré!« to mówiąc podał mu rękę.

»*Sacre*...! no, ja kląć nie chcę,« zawołał kapitan w zapale; »ale to imię Sacy przynależy Francyi; jest jéj od wieków zaszczytem. Ja tych równików, niżników, tych niwelatorów ciérpiéć nie mogę, którzy wszystko ku sobie dla tego w dół ściągają, że sami tam kiedyś pełzali. Ja tego nie przytykam do ciebie Dutailles!« dodał, podając rękę swemu sprzecznikowi; »ależto przecież nikomu nie jest zarówno, czy on w domu *maira*, czy w domu oprawcy na ten świat przyszedł. Ja należę także do dobréj familii!«

»Któż o tém wątpi!« śmiejąc się zawołał adjutant, który sobie téj rozrywki nie żałował, podraźnić się ze swoim towarzyszem. »Jesteś z Champagne, kapitanie, a to szampańskie przysłowie: *Tu est un enfant de bonne famille, ton voisin a une vache!* ma swoje znaczenie.«

»Nie byłżebyś tak grzecznym dla nas, kapitanie, powiedzieć nam, co ciebie spowodować mogło sutannę na lwią skórę zamienić?« ozwał się jeden z młodych oficérów, widząc, że Vautré, przymówką adjutanta urażony, zaczął już za wiele pogłaskiwać zawiesiste wąsy.

»Hm, chłopcy! nato wyjdzie wiele czerwonego wina, bo w tém przeklętém hiszpańskiém klima zaraz wysécha mi gardło, skoro opowiadać zacznę!« rzekł Vautré z uśmiéchem, który twarz jego groźniéjszą czynił; jednakże — jakto u wszystkich starych żołnierzy w zwyczaju — nie dał się długo prosić i pomusnąwszy wąsów, zaczął przypadki życia swego w ten sposób opowiadać: »Macie wiedzieć, mój ojciec był dość majętnym obywatelem w Epernay; był posiadaczem kilku wzgórzów, które rodziły przewyborne wina; a że były przewyborne, to pamiętam, jak dzisiaj;« to mówiąc wychylił kieliszek. »Otóż tedy — cóżemto chciał mówić? Wiém już: mój ojciec umarł, a mój brat starszy odziedziczył wszystek spadek, a ja musiałem zostać księdzem; tak było wtenczas zwyczajnym porządkiem i, jak mi powiadano, miałoto być bardzo sprawiedliwie. Przy takiéj tedy

sprawiedliwości, cóż było robić; zostałem, czém mi być kazano. *Sacre!* ale ja nie chcę kląć bynajmniéj, tylko mam to w zwyczaju. Nie długo trwało, wybuchła rewolucyja; zastała mnie w *Chateau la Tour*, w moim nowym stanie. Ksiądz pleban nie wiele miał do jedzenia, a pić, nic już wcale; w zamku było obojga pod dostatkiem; bardzo tedy naturalnie, żem tam często przesiadywał; bo pan de Sacy, posiadacz zamku, był człowiek bardzo majętny i wzorem gościnności. Poznawszy mój sposób myślenia i polubiwszy mię z mojéj otwartości, oddał mi pod dozór swojego małego Armanda; byłem mu nauczycielem.«

»Nie wiele zapewne nauczył się od ciebie, mój kapitanie!« przerwał mu umyślnie adjutant. »Od ciebie zapewne nie wziął tego brzydkiego nałogu, dolewać wody do wina.«

»Zato ci ręczę, mój dowcipny panie adjutancie!« odrzekł kapitan cokolwiek rozdąsany. »Lecz słuchajcie daléj.— Bieg rzeczy zaczął się dla każdego, który do motłochu nie należał, albo jeszcze całą suknię miał na sobie, stawać coraz bardziéj niebezpiecznym. Pan de Sacy z każdym dniem spodziéwał się swego uwięzienia; jużeśmy nad tém zaczęli nawet przemyśliwać, czyliby nam do Wandei ubiédz nie wypadało; gdy oto jednego poranku wchodzi do mojego pokoju gospodarz domu z gazetą w ręku. »Vantrei« zawołał, »my nie pójdziemy do Wandejczyków; my pojdziemy tam, gdzie nas chwała wzywa, i będziem służyć pod niebieskiemi!« —»Pod niebieskiemi?« rzekłem zdziwiony i spojrzałem panu de Sacy w oczy, bom rozumiał, że oszalał; zwłaszcza że to słowo: niebieskie było mi przeklęcie dwuznaczne. Tu mi dopiéro pan de Sacy przeczytał wypowiedzenie wojny mocarstw obcych. »Teraz,« takie było zdanie jego, »teraz nie chodzi o to, dokąd się udać mamy,« rzekł głosem przenikającym; »obcy chcą Francyję pokawałkować, Paryż w perzynę obrócić; łączyć się z obrońcami kraju, jest dzisiaj powinnością naszą.« Tak rzekł i tak się stało. Pani de Sacy jedzie z młodym Armandem do Paryża, my do armii. Mój patron i chlebodawca bierze swój dawny stopień kapitana, a ja, zostaję szeregowcem w jego kompanii, którą dowodził. Wojna, jak wam wiadomo, przeważała się na obie strony; szczęście nie dało się ustalić, ani goździem przybić; aż nakoniec pojawił się nasz mały kapral, ten, co teraz nosi cesarską koronę. Uradzono pochód do Egiptu; nasza pół-brygada została przeznaczoną do téj wyprawy. Pan de Sacy już był wtedy szefem batalijonu, ja — sierzantem. Pan de Sacy pobiegł do Paryża pożegnać się z żoną i synem; ale żonę zastał na katafalku. Spiesznie wrócił do Tulonu. Armand, prawie jeszcze dziecko, towarzyszył ojcu, zaciągnął się pod chorągwie, wsiedliśmy na okręt, wiatry w żagle zadęły, popłynęliśmy na Wschód. Jak nam się w Egipcie wiodło, o tém wiécie; czas, w którym trójkolorowe chorągwie w obec piramid powiéwały; jest w sercu każdego francuzkiego żołniérza, jak najdroższe przypomnienie, głęboko wyryty! O dzieci!« zawołał kapitan, a oczy mu się dawną sławą zaiskrzyły; wtenczas wszystko szło spaniale i wielkim krojem! ba... wtedy, wtedy! co Francuz, to i bohatér! Kiedy sobie na te czasy wspomnę, na tego Klebera, jak on, nito bóg wojny, pyszno i luto na czele kolumny stoi, serce z radości mi skacze! albo kiedy sobie tego cichego, surowego Desaix w pamięci wystawię; albo kiedy sobie tego świetno-śmiałego zucha Murata przypomnę; albo innych!... *Sacre!* to mi były czasy, jakich już nie dożyję! Ale cóż robić, trudno na pięści bić się z przeznaczeniem; niech sobie toczy swoje żelazne koło, my się tém pocieszajmy, że jeszcze z nami — ten, nasz — znacie go, ten nasz dawny, nasz mały kapral. Niech nam długo żyje!« Tu wszyscy razem z krzeseł się zerwawszy, uderzyli ochoczo: trink! w kieliszki. —»Ale... gdzież jato stanałem — aha! już wiem!... pod piramidami!« mówił daléj kapitan: »otóż widzicie! Jednego dnia nakazano nam pochód do Wyższego-Egiptu. Byłato wcale zabawna i śmieszna wyprawa. Mieliśmy przy sobie wszystkich naszych uczonych i cały instytut z Kairu. Ale uczeni mieli osłów, a na osłach były matematyczne instrumenta, kobiety, sakwy z żywnościami, i różne rupiecie; jednem słowem, nasza kolumna wyglądała, jak owa wędrówka dzieci Izraelu do ziemi obiecanéj, którą ja niegdyś ze staréj ryciny szkolnym żakom w *Chateau la Tour* starałem się, ile możności, uzmysłowić. Cała wyprawa była powierzona zasłonie dywizyi Friand,

do której i my należeli. Z początku szło wszystko pomyślnie; o Mamelukach nie było ani widu, ani słychu; ale pan de Sacy, patrząc się na różno-barwną karawanę naszą, potrząsał głową i często z tém się dawał słyszéć, że Murat-bej byłby szubienicy godzien, gdyby z téj tak pięknéj dla siebie nie korzystał okoliczności, i nam żadnego nie zadał ciosu. Pokazało się wkrótce, że ten Mameluk nie zasłużył na stryczek. Pewnego poranku wyruszyliśmy z obozu, kolona była w pochodzie, nasza pół-brygada formowała czoło, Friand jechał przy naszym półkowniku. Byłoto zwyczajem tego jenerała, że kiedy był w dobrym humorze, nócił sobie żołniérską piosnkę; otóż właśnie nócił ją sobie i teraz: *Les hussards sont des pillards,*

Les voltigeurs sont des voulers,

Il connaisent la pratique —

Ej! wszak tę piosnkę znacie. Otóż, kiedy on sobie tak wesoło i ochoczo nóci; słyszymy naraz w przednéj straży kilka tuzinów wystrzałów; a wrzaskliwe A ł ł a h! A ł ł a h! rozległo się, jakby grom w powietrzu; ledwieśmy to usłyszeli, już i widzimy, jak się z wszystkich stron wysunęły chmury Mameluków, gdyby ćma szarańczy. Nie byłato zabawka dla śmiéchu, bo doświadczone oko mogło od razu jazdę nieprzyjacielską na 8 do 10,000 ocenić. Jeszczeto mniéjsza; taki wypadek dla nas nic szczególnego, zwłaszcza, że była nas cała dywizyja dobornego żołniérza; ale wystawcie sobie tę diabelską komedyję, którą nam i osły i uczeni, i kobiéty zagrali, skoro Arabów, jak wichrzącą tuczę, ku sobie zbliżającą się ujrzeli. Każdy się cisnął, pchał, każdy co miał gardła krzyczał i wrzeszczał, i byłoby potrzeba bardzo wprawionego ucha, aby rozpoznać, która strona w tym zgiełku największą nagrodę za krzyk zasłużyła. Przydającież sobie do tego wrzawliwego jarmarku jeszcze głośne rozkazy i przeklęcia komendantów, łoskot tarabanów, przewlekłe wycie woltyżerskich rogów, i powiedźcie sami: nie byłoż tam gorzéj, aniżeli przy babilońskiéj wieży? Mnie przynajmniéj się zdawało, patrząc na powszechny przestrach naszych powierzeńców, że z nich wszystkich najwięcéj rozumu miały osły; bo te, stojąc na miejscu, nie mieszały przynajmniéj naszych szeregów; gdy przeciwnie kobiéty i uczeni cisnęli się tłumem w ściany kolumny, ile im tylko sił stało. Jakkolwiek wielkie było zamieszanie i niesłychana wrzawa; przecież naszém największém szczęściem było, że jenerał Friand głowy nie stracił, i wydał spieszno rozkaz do potyczki. Pamiętam dobrze jak donośnym głosem zakomenderował:

»*La division formera un quarrée,*

Les ânes et le savants au milieu!«

A na tę komenderówkę cała dywizyja parsknęła od śmiéchu. *Sacre!* Byliśmy Francuzi — i wtedy wszyscy młodzi. Śród głośnego śmiéchu wykonywaliśmy wojenne obroty. Mameluki uderzyli o nas, jakby stal o krzemień, i odskoczyli, jak piłka od muru. Trzykroć wpadli na nas z największym zapędem i trzykroć odparci zostali. Jednakże, nie ma co mówić, byłto waleczny nieprzyjaciel. Powtarzali natarcie, ale zawsze nadaremnie. Nakoniec, kilku wściekłych szaleńców wyleciało, jak gdyby błyskawica z chmury, i rzuciło się obces na bagnety nasze; jeden z nich — byłto oficér — zrzucony z konia, leżał na ziemi; ja poskoczyłem ku niemu, chciałem go ująć w niewolą; ale nim się spostrzegłem, jużem w twarz wziął cięcie; że s m a c z n e było, tu oto sami widzicie. Pan de Sacy skoczył mi w pomoc i przebił Mameluka; lecz ten, padając, wypala z pistoletu. Słyszę wystrzał, — mój przyjaciel, mój obrońca, już leżał na ziemi!.... Przyjaciele!« rzekł Vautré po chwili milczenia, uderzywszy się w czoło, ogorzałą pięścią; »co ja wtenczas uczułem, nie żądajcie, abym wam opisał; ale to wam powiém, że byłbym te szlify, tę wstążkę, tę bliznę, to życie dał za to, gdybym tego wystrzału nie był słyszał. Ta przeklęta Mamelucka kula i mnie krwawo w serce ugodziła! Tymczasem skończyła się potyczka; mój komendant żył tylko godzin kilka. Przywołał mię skinieniem do siebie, i wziąwszy za rękę, umiérającym głosem te ostatnie wyrzekł słowa: »Vautré, polecam ci mojego Armanda! Bądź mu —« skonał. Teraz wiécie, dla czego dla mnie tak drogim jest ten młodzian!«

»Sacy jest walny żołnierz! a że mu na męztwie nie zbywa, dowiódł tego chlubnie pod Durango;« rzekł jeden z młodych oficérów. »To drugi Achil w naszym pułku, i dla tego tak bardzo kochany od wszystkich.«

»Dziękuję ci, kochany Flerieu, za takie o mnie zdanie!« ozwał się głos miło-dźwięczny; a młody, smukłéj kibici i pięknéj, wyrazistéj twarzy oficér, który wszedł niepostrzeżony, zawoławszy: »Ach, drogi kapitanie!« rzucił się w tegoż objęcie.

»Tyżeśto Armandzie!« wykrzyknął Vautré, i przycisnął gorąco młodzieńca do serca swego; »jużeś mi zdrów i wesół? to dobrze, lubię cię za to! ale czemużeś mi o tém jakimkolwiek nie doniósł sposobem? byłbyś mi wiele zmartwienia oszczędził! ale *hony soit qui mal y pense!* niech mi nikt tego za złe nie bierze, że panu de Sacy ty mówię, nie pozwoliwszy mu wprzód i do mnie tegoż używać wyrazu.«

»Mój zacny, drogi kapitanie! ileż ci razy mam powtórzyć: słowo ty, z ust twoich, byłoby zaszczytem samemu Montmorency!« odrzekł kapitanowi młodzieniec, i ścisnąwszy mu rękę usiadł w kole towarzyszów.

»Długoś wćpan bolał na swoje ranę?« zapytał adjutant tonem grzecznym; »ten ogorzały, obdarty wisus, wycélował dobrze.«

»Kula siadła w niewygodném miéjscu!« odpowiedział Armand z uśmiéchem: »Ugodziła głęboko w biodro; jednakże staranne i przyjaźne pielęgnowanie sprawiło, że niebawem przyszedłem do zdrowia!«

»Przyjaźne pielęgnowanie, powiadasz?« zawołał zdziwiony Vautré; »zkądże się ono u wszystkich diabłów tu do Hiszpanii zabłąkało? Do mnie przynajmniéj w tym przeklętym kraju nikt jeszcze dobrego słowa nie przemówił.«

»A przecież, kapitanie!« odpowiedział śmiejąc się Armand, »ja byłem tyle szczęśliwy, żem w domu duchownym miał wszelką wygodę. Cóż wy na to powiécie,« mówił daléj, obróciwszy się do swoich młodszych towarzyszów, kiedy wam powiém, że ja w pałacu inkwizycyi stoję kwatérą? i czy uwierzycie temu, że mnie tam dozór kobiéty przyprowadził do zdrowia?« — »To być nie może!« zawołali młodzi oficérowie.

»Posłuchajcie tylko,« rzekł Armand: »Przeszłego roku, gdyśmy z pruskiéj wyprawy wrócili; zwiedziłem kąpiele Bagnères. Zastałem tam zgromadzenie, nie tylko świetne, liczne; ale i dobrego tonu. Szczególnie zwracała na siebie oczy pewna hrabina hiszpańska swoją prześliczną, kochania godną siostrzenicą, która przy niéj, jak przy hisperyjskiém lecie, italska, błoga wiosna rozkwitała. Wystawcież sobie moje zadziwienie, kiedy mnie ranionego do pałacu inkwizycyi zanoszą; a ja tam — piękną hrabinę i ubóstwienia godną Teressę de Rocca znowu znajduję! Hrabina jest siostrą jeneralnego wikaryjusza, który przed nami do Madrytu zemknął; a Teressa, jéj krewna, jest córką wysłużonego hiszpańskiego jenerała, który w téj stolicy mieszka.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POCZTA RUSKA.

(Podług obrazu Ad. Orłowskiego.*)

Kto chcesz wiedzieć jak ptactwo po powietrzu lata,
Niechaj cię poczta ruska przewiezie po ziemi;
Tabun na wiatr wypływa skrzydlami orlemi,
Kopytami czas zwęża, grzywą blask rozmiata.

Kibitka, jak jaskółka samotna, przelata
Z drogi na drogę, dotknąć zapomina ziemi,
Dzwónek, któremu braknie tchu, na pół żywemi
Głoski sylabizuje pożegnanie świata.

Z ócz roz-igranéj trójki wzrok sypie się żarem,
Do koła kopyt skaczą iskry z wiatrów warem,
I niebo nie dla ciebie, i ląd nie dla ciebie;

Toniesz, toniesz w przestrzeni, myśl tobie ciężarem;
A zwoszczyk, jako szatan myślący o niebie,
Wciąż się uśmiécha, dumę wdziéwając na siebie.

T. A. OLIZAROSKI.

Z Krakowa (wyjątek z listu). Znany autor dzieła: »Bakona Metoda tłumaczenia natury,« pan Michał Wiszniewski, przyjął redakcyją zapowiedzianego w roku zeszłym, a z początkiem roku 1835 wychodzić mającego pisma: Pomniki historyi i literatury polskiéj, i będzie takowe wydawał zeszytami, składającemi się z trzech arkuszów, nie przywiązując się do czasu. Pismo to zawiérać ma: Pamiętniki znakomitych zdarzeń do r. 1764; dzienniki, np: Stadnickiego zwanego Diabłem, Sapiehy (świeżo wydany w Moskwie przez Polewoja); rzadkie, lub dotąd niedrukowane kroniki w przekładzie polskim, np: Kronika Rafała Leszczyńskiego i wydawane teraz na Szląsku listy królów i innych osób; dyplomata służące do objaśnienia, sprostowania lub poparcia podań kronikarskich w treści, albo w całej rozciągłości, z tekstem w polskim języku i rycinami ciekawych pieczęci; żywoty uczonych; rozprawy treści historycznéj własne, lub innych, niedrukowane i rzadkie, np: niedrukowane rozprawy Tadeusza Czackiego. — W powszechności piśmiennictwo kwitnie w Krakowie; wychodzą tu albowiem następujące czasowe pisma: *a)* Gazeta Krakowska, *b)* Rozmaitości; *c)* Kuryjer Krakowski, którego redakcyją zajmuje się teraz pan Tessarczyk; *d)* Temis; *e)* Pa-

*) Adam Orłowski, sławny rysownik. Znana jest powszechnie jego rycina: Poczta Ruska.

miętnik farmaceutyczny; *f)* Pomniki, i *g)* Kwartalnik wychodzić mające. Pisma czasowe mogą być uważane za stopniomiérz oświaty, podług téj zasady więc wnioskując, mogą się Krakowianie poszczycić, iż tak pięknie w téj gałęzi piśmiennictwa postąpili.

Z Warszawy. Na wiązanie dla dzieci wydał Fr. S. Dmochowski dziełko: Zapusty dziecinne, czyli małe towarzystwo. — W zeszycie drugim, tomu drugiego, pisma: »Gabinet czytania,« jest między innémi: Rzecz o komedyjach Alex. hr. Fredra, zawartych w tomie czwartym jego zbioru, a mianowicie o komedyi: »Śluby panieńskie czyli magnetyzm serca.« Zeszyt ten ozdobiony jest ryciną, wyobrażającą kaplicę S. Ducha w Wiślicy. Radom ma teraz także teatr polski, grywają tam aktorowie polscy pod dyrekcyją JP. Raszewskiego.

Z Wilna. Zapowiedziano i na r. 1835 wychodzący tu Dziennik muzyczny. — Teatr polski w Wilnie jest czynny. W ostatnich czasach grano między innémi sztukę Alex. hr. Fredra: »Dyliżans.« Grywa tu znany z teatru lwowskiego JP. Reymers, podpisujący się artystą dramatycznym teatru lwowskiego.

Z Petersburga. Bałamut, satyryczno-literackie pismo czasowe, wychodzące tutaj w języku polskim po jednym do dwóch arkuszy na tydzień, ogłoszone zostało także i na r. 1835 w składzie dotychczasowym. Satyryczni wydawcy pisma tego umieścili w prospekcie swoim następujące miejsce: »Nie przestaniemy po dawnemu bałamucić, chociażby jedynie dla utrzymania numerycznéj wyższości literatury polskiéj nad żydowską. Z księgarskiéj bowiem statystyki ostatnich lat kilku, z boleścią serca widziémy, iż liczba nowych ksiąg hebrajskich prawie dziesięć razy przewyższa liczbę książek, drukujących się w języku polskim, i że jerozolimskiego komentarza talmutu rozeszło się w Polszcze 47 wydań, kiedy tymczasem z nowszych dzieł polskich tylko wileński »Kucharz doskonały,« kilka z rzędu edycyj wysmarzył.«

Gazety petersburskie umieściły wyjątek z listu astronoma sir J. Herschla, pisanego do radzcy stanu Struve do Petersburga, datowanego z przylądku Dobréj Nadziei d. 10. czerwca. Pisze, iż znalazł w tym kraju bardzo przyjemną siedzibę i wszystkie powaby życia. Mieszka o sześć mil angielskich od stolicy, w ładnym domku wiejskim, ocienionym tak zwanémi białémi wiérzbami. Okazałość południowego gwiazdzistego nieba zajmuje go mocno, a z rozdzielenia Drogi Mlecznéj, równie jak z większéj okazałości gwiazd tamtejszych, ten wyprowadza wniosek, że nasz system słoneczny umieszczony jest wewnątrz strefy gwiazdzistéj, a mianowicie bliżéj Krzyża i Centaura. Najosobliwszémi także znajdował obłoki Magellana (tak zwane od żeglarza tegoż nazwiska) i wielką płatę mgły na Argusie. Obłoki te nie odsłaniają gwiazd, lubo mieszczą je w łonie swojém. Większa ich część jest mgłą trudną do rozpłynienia się, pomieszaną z węzłami i pojedyńczémi płatami mgły rozmaitéj gęstości. Odkrył dwie nowe płaty mgły i przekonał się, że wiele gwiazd należy do podwójnych. W liczbie tych umieszczone są gwiazda Crucis i Centaur, którato ostatnia jest najpiękniéjszą gwiazdą podwójną na całém niebie.

Też gazety donoszą o pewnym człowieku, zmarłym w Połocku na granicy Litwy w 188 roku życia. Zapamiętał 7 monarchów na tronie rossyjskim. W 93im roku ożeniony po raz trzeci, żył z tą ostatnią żoną swoją lat 50, i przez czas ten miał z nią kilkoro dzieci.

Ko[illegible]ro-gniady, na którym Gustaw Adolf jeździł w bit[illegible]d Breitenfeld i na którym pod Lützen był śmier[illegible]aniony, został wypchany i dotąd jest do wid[illegible] z siodłem i rzędem w zbrojowni w Ulrichd[illegible]ztokholmu.

Pan C. M. Jägermann uczy właśnie w tym czasie w Bernie tak zwanego wschodniego i chińskiego prędkiego malowania i usprawiedliwia sławę, jaka w gazetach poprzedziła go z wielu miast Niemiec. Oddzielny przywiléj dostał w Państwie Austryjackiém na udzielanie swojéj metody uczenia, za pomocą któréj można w kilku godzinach być mistrzem w tym rodzaju malowania.

Podkomorzy baron Drais wynalazł w Monachium machinę szybko piszącą, za pomocą któréj ten osiąga skutek, że najprędzéj wymawiane słowa potrafi z równą szybkością przenosić na papiér. Pojęcie sposobu kierowania tą machiną ma być niezmiernie trudne, przeto, jak sądzimy, mało ona znajdzie zwolenników. Wynalazca objaśnia jednak wielu osobom metodę swoję.

Bracia Dietmarowie w Heilbronnie, słynni wyrobami swojémi z żelaza i stali, a których mianowicie ślusarskie roboty są w wielkiéj cenie, wyrobili nie dawno żelazo magnesowane, mające siłę przyciągającą 150 funtów, siłę dotychczas nieznaną.

W Królestwie Wirtemberskiém, w pokładach wapiennych góry Jura, należącej do pasma gór alpejskich, odkryto przypadkiem nową jaskinię, równająca się co do wielkości owéj najsławniéjszéj i najwięcéj odwiédzanéj jaskini tego królestwa, zwanéj *Nebelhöhle* (jaskinia mgły), a mającą do 600 stóp długości. Zawiéra ona skamieniałe kości, mianowicie kości niedźwiedzi i są ślady, że od ludzi zamieszkałą była. W którymto jednak działo się czasie, dopiéro badania naukowe wyświecą.

Na ostatniéj wystawie wyrobów przemysłowych w Medyjolanie przyznano medal srebrny Józefowi Pagini, który w sztuce odbijania rycin i innych odcisków na kamieniu, ważne porobił odkrycia, i sztukę tę przyprowadził do daleko wyższego stopnia doskonałości. Okazane przez niego próby dowiodły sposobem zadziwiającym użyteczności jego wynalazku. Słychać jednak, że pewien Francuz zrobił nie dawno odkrycie, które odciskom na kamieniu zada cios śmiertelny.

Nowy komentarz do »Boskiéj komedyi« Danta wyszedł nie dawno przez Karola Morbio w Medyjolanie. P. Morbio jestto pilny i wprawny autor, biegły szczególnie w dawnéj literaturze włoskiéj, a niniéjsze dziełko jego napisane jest z duchem badawczym i wytrawionym smakiem.

W Como odbyło się nie dawno uroczyste założenie kamienia węgielnego na pomnik poświęcony pamiątce Volty. Na podstawie marmurowéj ma spoczywać wyobrażenie Volty, wielkości naturalnéj, roboty sławnego Marchesi. Plac, na którym pomnik wznosić się będzie, przybierze odtąd Volty nazwisko.

Pomiędzy artystami, przyczyniającymi się do tegorocznéj wystawy sztuk pięknych w Paryżu, złożonéj z przeszło 2,000 numerów, znajduje się więcéj, jak pięćdziesiąt dam. Widać ztąd, że sztuki we Francyi mają wiele między płcią piękną zwolenniczek.

Wyszedł właśnie w Paryżu romans Edwarda Corbière, pod nazwą: »Kandydaci do marynarki.« W ciągu bież. miesiąca wyjdą: »Historyja marynarki francuzkiéj od 15go wieku aż do naszych czasów,« w 10 tom., przez Eugeniusza Sue, znanego z obrazów morskich; *Souvenirs de servitude militaire* hrabi Alfreda de Vigny; nowy tom Poezyj Wiktora Hugo; *André,* romans Jérzego Sand; *Confession d'un enfant du siecle* Alfreda de Musset i *Souper chez le commandeur* Henryka Blaze.

Bijografija Julijusza Janin. Autor ten, urodzony w grudniu r. 1804, jest bezsprzecznie jednym z najdowcipniéjszych pomiędzy młodymi autorami Francyi. Bardzo młodym będąc pisał dla wielu dowcipnych i teatrowi poświęconych dzienników Paryża. On rozpoczął wydawanie znanego dziennika *Figaro*, pracował przy dzienniku *Quotidienne*, i przy innych. Zmieniał

barwę pism swoich, kiedy mu się podobało, byle tylko w opozycyi pozostać. Teraz daje on ton w dziennikach i żaden nie obejdzie się bez jego artykułu, za co wszakże dobrze sobie płacić każe. Piérwszém jego dziełem było *L'ane mort et la femme guillotinée*, najlepszém zaś *Parnave* w 4ch tomach. Oprócz tego wydał artykuły swoje w zbiorze: *Contes fantastiques et littéraires* (4 tom.) i *Contes nouveaux* (4 tom.). W obcowaniu ma być przyjemniéjszy jeszcze, jak w pismach.

Paryż ma teraz następujące znakomitsze zakłady publiczne: 37 kościołów, 7 świątyn rozmaitego obrządku, 27 teatrów, 7 kolegiów, 27 szpitalów, 42 koszar, 1 bank, 1 giełdę, 34 targowic, 7 placów dla przekupniów, 13 cmentarzów.

W pewnéj gospodzie przy baryjerach Paryża znajdują się dwie oddzielne dla pijących przeznaczone izby, z których jedna ma napis: »Izba deputowanych,« a druga »Izba parów.«. Gospodarz pytany o przyczynę tych napisów, odpowiada zwykle: »Piérwsza izba przeznaczona jest dla młodych ludzi, którzy przy kieliszku czasami głowę tracą; drugą zaś odwiedzać zwykli ludzie poważni, którzy lubo także dobrze pociągną z butelki, umieją jednak być panami siebie.«

Deputacyja rady miejskiéj, wysłana z Rouen do Paryża po serce sławnego ziomka swojego, kompozytora Bojeldieu, wróciła już do swojego miasta. Serce męża tego złożone w puszce ołowianéj i srebrnéj, umieszczone zostanie w gmachu urzędu burmistrzowskiego. Uroczystość żałobna, na cześć zmarłego odprawiać się mająca, ma przewyższyć okazałością wszystkie podobne obchody widziane w Rouen. Mają użyć do tego całunu, używanego na pogrzebie Ludwika XVIII.

Marszałek Mortier, książę Treviso, teraźniéjszy francuzki minister wojny, wyszczególniał się w armii francuzkiéj wzrostem swoim. Dnia pewnego, gdy Napoleon z wielu oficérami znajdował się w biblijotéce swojéj, chciał z jednéj z wyższych półek dostać książki, Mortier, przyskoczywszy z usłużnością, rzekł: »Pozwól Najj. Panie, ja jestem większy od W. C. Mości.« — »Dłuższy powiedz wćpan raczéj;« odpowiedział cesarz, a usta jego ściągnęły się do ironicznego uśmiechu.

Do największych widzenia godnych osobliwości w okolicy Lizbony należy tak zwany **klasztor korkowy**, położony w blizkości miasta Cintra, o pięć godzin drogi od stolicy Portugalii. Osobliwy gmach ten, będący zarazem dziełem najwięcéj zadziwienia godném pracy ludzkiéj, wykuty jest w ogromnym kolosie z granitu, w najokropniéjszéj części tamtejszéj okolicy górzystéj, w pobliżu brzegów morza, wyżéj jak na tysiąc stóp wzniesionych. Gmach ten skalisty zawiera kościół, refektarz, piętnaście cel i kilka zabudowań na składy. Z powodu ciągłéj wilgoci w tych skalistych pomieszkaniach wszystkie komnaty gmachu tego wyłożone są grubémi warstwami drzewa korkowego i ztąd ten klasztor nazywa się klasztorem korkowym.

Kilku Anglików, po największéj części samych lekarzy, zgromadziło się razem na obiad i wszczęła się rozmowa o rzeczach naukowych. Niejaki dr. B* wyjął z kieszeni narzędzie *sphygnomometre* (tętnomierz), zwane i wynalezione nie dawno przez doktora Herrison do wymierzania siły pulsu. Jeden z obecnych, dr. S* podał mu rękę, prosząc, ażeby raczył ocenić siłę pulsu jego. Dr. B* uczynił to z największą uwagą; a odłożywszy narzędzie na bok, rzekł z miną poważną: »Za skarby świata nie chciałbym mieć takiego pulsu!« — »Dla czego?« zapytał dr. S*, czujący się być zupełnie zdrowym. Nazajutrz jednak umarł dr. S* na apoplexyją. (O tym wynalazku obaczyć Nr 51. Rozm. z r. zeszł.)

W jednym z prowincyjnych teatrów Anglii dawano nie dawno *Pizzara*. Podczas hymnu do słońca postrzegł dyrektor teatru, właśnie gdy spiewał: »O najwyższa potęgo!« że ta najwyższa potęga paliła się. »Słońce się pali,« wołał na stojących za kulisami statystów, a tymczasem spiéwał ciągle: »O najwyższa potęgo!« — Łotry, zgaście słońce!« krzyczał w ciągu spiéwu na statystów, aż śród spiéwania i łajania zagasło słońce na niebie teatralném.

Angielski okręt wojenny, używany do strzeżenia brzegów południowéj Afryki, przytrzymał znowu niedawno okręt portugalski, ładowany 215 niewolnikami, najwięcéj dziećmi płci obojéj, i te nieszczęśliwe ofiary cywilizacyi europejskiéj oddał najbliższéj władzy angielskiéj, do odesłania ich na powrót do ojczyzny.

Do jakiego stopnia dochodzi chęć podróżowania u Anglików, dowodzi obwieszczenie w gazetach angielskich, podług którego wypłynie okręt z Liwerpolu, mający odbyć podróż na około świata, a który przyjmować będzie podróżnych za zapłatę 150 funt. sztrl. (1500 złr. m. k.). Co sześć tygodni odpłynie podobny okręt pod témi samémi warunkami i na tenże sam cel przeznaczony.

Pewny kapitan okrętowy odkrył nie dawno pod 30m stopniem szérokości, a 80m długości, **skałę koralową**, 30 stóp długą i blizko na ośm stóp nad powierzchnią morza wystającą.

Jak prędko nowo-założone miasta w Ameryce północnéj wzrastają w ludność i domy, szczególnym dowodem tego jest miasto fabryczne Lowell, w państwie Massachusett. Lowell istnie dopiéro od lat jedenastu, a ma już, wraz z przedmieściem Belweder, 15,000 ludzi. Przed dwunasty laty była w tém miejscu pustynia, przerznięta rzekami Merrimack i Concorde, teraz tam buja oko po ogromnych gmachach fabrycznych, koszarach dla robotników, kanałach, kołach młyńskich, mostach; są tam pałace i małe domki eleganckie, sklepy, składy towarów, wychodzi siedm gazet, są kościoły i kaplice dla różnych wyznań i nie ma jeszcze tylko — więzień i szpitalów.

W skarbcu króla perskiego widzéć można zjawisko mineralogiczne, zdające się potwierdzać bajkę starożytności o złotych jabłkach Hesperydów. Jestto sztuka szczérego złota z kopalń Abissynii, któréj przyroda dała postać drzewa. Ma długości 2 stopy 4 cale; pień ma półtrzecia cala grubości, a z tego wychodzi 10 do 12 gałęzi od 6 do 7 cali długości. Jedne są na cal grube, drugie cieńsze. Korzenie są małe i krótkie, najdłuższy nie dochodzi nawet do 5 calów. Gałęzie mają wiele sęków, podobnych nieco do pączków. Drogie drzewo to, darowane zostało królowi perskiemu od króla etyjopskiego w połowie 17go wieku.

Mody. Elegantki noszą w Paryżu lekko watowane suknie wierzchnie w formie salop, z przodu się otwiérające, bez żadnych talii, z bardzo szérokiemi, długiemi rękawami. Bywają one zwykle z kolorowego atłasu, podszyte pstrą marseliną, z takiemiż atłasowémi okładkami. Bogatsze damy noszą takie salopy z aksamitu, podszyte atłasem innego koloru. Widać te salopy najwięcéj po przechadzkach i miejscach publicznych, które za najmniejszém otwiérając się poruszeniem, okazują pod spodem zgrabną sukienkę muszlinową. **Muffy** i **boa** sobolowe są zawsze w modzie; noszą także bardzo szale z cieniowanémi kadrylami. — Mężczyźni noszą ciągle długie surduty, w rękach trzciny ze złotą lub platynową gałką. Kamizelki mają wykładki atłasowe i takie same bardzo małe guziczki. Krawaty są nieregularnie marszczone, z przodu z różą lub prostym węzłem, z którego końce niedbale na koszulę spadają. Najmodniéjsze rękawiczki są białe z sarniéj skórki, wyszywane jedwabiem. — W Anglii strzelanie z łuków jest bardzo w modzie.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński.   Druk Piotra Pillera, we Lwowie.